

W poszukiwaniu
utraczonego
czasu

**Albertyna
odeszła**

Rozdział pierwszy

Smutek i zapomnienie

„Panna Albertyna wyjechała”. Cierpienie może odsłonić w nas tak głębokie otchłanie, jakich nie zna psychologia! Zaledwie przed chwilą, gdy przyglądałem się własnym uczuciom, wierzyłem jeszcze, że takie rozstanie bez pożegnań byłoby właśnie tym, czego mi trzeba. Bezbarwne przyjemności, jakich doznawałem przy Albertynie, porównywałem z bajecznym przepychem pragnień, których dla niej zmuszony byłem się wyrzec, a przeświadczenie, że Albertyna będzie ze mną zawsze, za sprawą jakichś wewnętrznych przepływów wyniosło tamte niespełnione pragnienia na powierzchnię świadomości. Lecz wobec wiadomości o jej wyjeździe żadne z nich nie mogło się ostać, po prostu wszystkie naraz uleciały. Chwilę wcześniej, podziwiając własną przenikliwość, dochodziłem do wniosku, że nie kocham jej już i nie potrzebuję. Lecz właśnie te słowa: „Panna Albertyna wyjechała” — zadały mojemu sercu ból, jakiego nie byłem w stanie znieść ani chwili dłużej. To, co zdawało się nic już dla mnie nie znaczyć, naraz okazało się wszystkim! Oto jak niewiele wiemy sami o sobie. Musiałem czym prędzej położyć kres cierpieniu. Ze współczuciem, z jakim zwracała się moja matka do umierającej babki, pragnąc oszczędzić jej bólu, mówiłem sobie: „Wytrzymaj jeszcze chwilkę, na pewno znajdzie się jakieś lekarstwo, i nie bój się, przecież nie pozwolę, byś cierpiał tak strasznie”. Czułem już mgliście, że ta myśl o jej odejściu jako o rzeczy obojętnej, nawet pożądanej, wysnuta zanim sięgnąłem po dzwonek by wezwać Franciszkę, zrodziła się w mojej głowie tylko dlatego, że jej wyjazdu nie mogłem sobie wyobrazić. I tej niemożności trzymał się mój zmysł przetrwania, szukając czegoś, co da się przyłożyć do otwartej rany, by złagodziło ból: „Nic wielkiego się nie stało, bo przecież już wkrótce, natychmiast, ściągnę ją z powrotem. Musi się

znaleźć jakiś sposób, by najpóźniej dziś wieczór znów tu była. Nie będę się zamartwiać”. „Nic się nie stało” — powtarzałem więc sam sobie raz po raz, ale to nie przyniosło mi ulgi, musiałbym jeszcze przekonać o tym samym Franciszkę, a przy tym nie mogłem dać jej poznać, że cierpię. Bo nawet w tamtej chwili, kiedy ból targał mną z największą siłą, moja miłość chciała uchodzić za spełnioną, za szczęśliwą — zwłaszcza w oczach Franciszki, która nie lubiła Albertyny i wątpiła w szczerość jej uczuć.

Tak, zaledwie przed chwilą, zanim zjawiła się Franciszka, obserwowałem swoje wnętrze z chłodną rzeczowością badacza, którego uwagi nie ujdzie żaden szczegół, i wydawało mi się, że już nie kocham Albertyny. Byłem pewny, że potrafię przeniknąć wzrokiem wszystkie zakamarki mego serca. Ale umysł, nawet najbardziej dociekliwy, nie może dostrzec ulotnej substancji, która go w całości przepełnia, nawet się jej nie domyśla, póki pod wpływem jakiegoś zewnętrznego zdarzenia nie wykrystalizuje z niej ciało stałe. Myliłem się, wierząc, że potrafię czytać we własnym sercu. Prawda o nim, która oparła się moim najwnikliwszym dociekaniom, objawiła mi się nagle, jak rażący oczy blaskiem kryształ nieznanej substancji, powstały pod ciśnieniem gwałtownego bólu. Przywykłem mieć Albertynę na wyciągnięcie ręki. Przyzwyczajenie ukazało mi jednak znienacka swoją drugą twarz. Jeśli wcześniej dostrzegałem w nim tylko gnuśną siłę niweczącą możliwość nowych doznań, gotową zgoła unicestwić wszelką zdolność doznawania, naraz ujrziałem groźne bóstwo, nijakie z wyglądu, lecz skłonne po cichu zadowolić się w sercu, wrosnąć w nie tak głęboko, że kiedy nas opuści, kiedy odwróci się od nas, to choć na pozór niewiele znaczyło, ściągnie na nas najstraszliwsze męki, okrutne jak sama śmierć.

Najpilniejszą rzeczą było teraz przeczytanie listu, musiałem się z niego dowiedzieć, jakimi rozporządzam środkami, by nakłonić Albertynę do powrotu. Łudziłem się, że wszystko jest w mojej mocy. Dopóki bowiem przyszłość istnieje tylko w naszych myślach, wierzymy, że to nasza wola nada jej kształt, w ostateczności odwróci nawet to, co nieodwracalne. Lecz miałem w pamięci takie chwile, kiedy moja wola okazywała się bezsilna wobec cudzej, i nie pomogło nawet to, że miałbym dość czasu

na podjęcie jakichś działań. Cóż z tego, że czasu jest pod dostatkiem, gdy okazuje się, że na nic nie możemy wpłynąć? Póki Albertyna była tuż obok, wierzyłem, że decyzja o rozstaniu będzie należeć do mnie. Ale to ona odeszła.

Otworzyłem list. Pisała w nim:

„Mój Drogi, wybaczone, że nie ośmieliłam się powiedzieć Ci w cztery oczy tych paru słów, które za chwilę przeczytasz, lecz tak wielkim jestem tchórzem i taki czułam przed tobą respekt, że zabrakło mi odwagi, by to uczynić. A oto co powinnam była Ci powiedzieć: wspólne życie stało się niemożliwe. Sam zapewne zauważyłeś, że po tej scysji sprzed paru dni, do której parłeś, coś pękło między nami. To, co tamtego wieczoru zdołaliśmy jeszcze posklejać, rozpadłoby się wkrótce znów i zapewne nie udałoby się już tego naprawić. Rozstańmy się więc właśnie teraz, w zgodzie, pojednani, i bądźmy przyjaciółmi. Dlatego piszę do Ciebie, mój Drogi, prosząc, byś był tak dobry i wybaczył mi, jeśli przysporzyłam Ci trochę smutku, bo ja smucić się będę dużo więcej. Wierz mi, nie jestem Twoim wrogiem, i niełatwo mi pogodzić się z tym, że pomału, lecz już wkrótce, stanę Ci się obojętna. Ponieważ ta decyzja jest nieodwołalna, rano poproszę Franciszkę o moje kufry, zanim jej oddam ten list. Żegnaj. Moje najlepsze uczucia pozostaną z Tobą. Albertyna”.

To wszystko nic nie znaczy, powiedziałem sobie, wygląda to nawet lepiej, niż mogłem sądzić, bo ona tak nie myśli naprawdę, widac przecie, że wszystko to napisała tylko po to, żeby mną mocno wstrząsnąć, chciała sprawić, bym zadrzał. Trzeba czym prędzej zacząć działać, jeśli ona jeszcze dziś wieczór ma tu być ze mną znowu. Przykro mi było liczyć na to, że państwo Bontemps zechcą bez skrupułów skorzystać z okazji i wezmą ode mnie pieniądze. Ale cóż to ma za znaczenie? Choćbym miał oddać pani Bontemps połowę majątku za powrót jej siostrzenicy, zostanie mi jeszcze dość, byśmy mogli oboje wieść przyjemne życie. I już zacząłem martwić się o to, czy zdążę tego ranka zamówić jacht i Rolls-Royce'a, o których marzyła. Moje wcześniejsze wahania ulotniły się

i natychmiast zapomniałem, że dawanie jej takich prezentów uważałem za nierozsądne. A gdybym nic nie wskórał nawet z pomocą pani Bon-temps, gdyby Albertyna nie posłuchała ciotki, gdyby zgodziła się wrócić tylko pod warunkiem, że odtąd zostawię jej zupełną swobodę, wtedy — cóż! Chociaż z bólem, ustąpiłbym i w tej kwestii. Niech wychodzi sama, kiedy chce. Czasem trzeba ponosić ofiary, nawet bolesne, gdy to, co pragniemy osiągnąć, jeszcze więcej dla nas znaczy. Tym czymś była zaś obecność Albertyny, wbrew konkluzji, do jakiej rankiem doprowadziły mnie moje rozważania, niby trzeźwe, a przecież oderwane od rzeczywistości. Czy ucierpiałbym zresztą aż tak bardzo, gdybym pozwolił jej zażywać swobody? Gdybym się przy tym upierał, minąłbym się z prawdą. Nieraz miewałem przeczucie, że jeśli pozwolę jej grzeszyć za moimi plecami, to ból będzie i tak łatwiejszy do zniesienia niż smutek, w jakim się pogrążałem, widząc ją znudzoną życiem ze mną w moim domu. Zapewne, gdyby zażądała, bym pozwolił jej wybrać się tu albo tam, z miejsca domyśliłbym się jakichś ukartowanych wcześniej bezceństw, toteż ofiarować jej wtedy swobodę byłoby dla mnie czymś niemożliwym. Powiedzieć jej: „Weź naszą łódkę albo wsiadaj do pociągu i udaj się w strony, których nigdy nie widziałem, by przez miesiąc robić tam rzeczy, o których się nie dowiem” — taka myśl czasami wydawała mi się kusząca, bo miałem nadzieję, że gdy z daleka poczyni korzystne dla mnie porównania, z ochotą wróci do mnie. Chciałem wierzyć, że sama tego zapragnie. Że tak wielkiej wolności wcale jej nie trzeba. I że potem, przekupując ją coraz to nowymi rozrywkami, bez trudu zdołam przywrócić pewne ograniczenia. Albertynie — myślałem — naprawdę zależy na czym innym, na tym, bym przestał być wobec niej tak nieznośny, a przede wszystkim właśnie na tym, czego w swoim czasie Odeta oczekiwała od Swanna — żeby się z nią wreszcie ożenił. Po ślubie od razu przestanie tęsknić za wolnością! Będziemy żyli tu we dwoje, jak dotąd, i będziemy szczęśliwi. Co prawda, przyszedłoby mi wyrzec się podróży do Wenecji. Lecz nawet marzenia najpiękniejsze — jak niegdyś w Combray rojenia o księżnej de Guermantes, którą tak bardzo chciałem poznać, i jak wyobrażenia o teatrze — łatwo błedną, obojętnieją i usychają, kiedy serce jest przykute do innego serca, uwięzione w bolesnych okowach namiętności. Jeśli zaś idzie o kwestię

ślubu, to przyznawałem Albertynie całkowitą słuszność. Nawet dla mamy ta zwłoka wyglądała niezrozumiale i niepoważnie. Ożenić się z Albertyną, oto, co powinienem zrobić już dawno i co zrobię teraz bez ociągania, bo po to przecież pisała ten list, sama nie wierząc w ani jedno swoje słowo. By osiągnąć swój cel, musiała przez krótki czas opóźnić to, czego z pewnością pragnęła równie gorąco jak ja: swój powrót. Tak, o to jej właśnie chodziło, taki to zamysł krył w sobie jej czyn, podpowiadały mi litościwie własne myśli. A jednak czułem, że przyjąwszy to założenie, utknęły w martwym punkcie.

I widziałem rozliczne poszlaki przemawiające za założeniem przeciwnym. Nie były one, rzecz jasna, tak oczywiste, by niezbicie dowieść, że coś łączy Albertynę z panną Vinteuil i jej przyjaciółką. Ale to one pchnęły mnie kiedyś w odmęty rozpacz w chwili gdy wchodziłem z Albertyną na stację w Incarville, i wtedy owo przeciwne założenie wydało mi się pewne. A przecież i z niego nie dałoby się wywieść szalonego przypuszczenia, że Albertyna zechce opuścić mnie sama z siebie, i to jeszcze w taki sposób, bez uprzedzenia, nie dając mi sposobności, bym ją powstrzymał. I teraz, strąciwszy mnie w jakąś bezdenną otchłań, życie ukazało mi rzeczywistość nieoczekiwaną, jak niektóre odkrycia fizyki albo wnioski na temat zbrodni wyciągnięte z dochodzenia przez sędziego śledczego, albo jak odsłonięte przez historyków kulisy politycznego przewrotu. Rzeczywistość przelicytowała blade przeczucia, z jakimi zgodne było to drugie założenie, i tym mocniej potwierdziła jego trafność. A przecież nie zrodziło się z trzeźwej myśli, raczej z przyływu panicznego lęku, który przeżyłem tamtego wieczoru, kiedy Albertyna nie chciała mnie pocałować, albo wtedy, gdy usłyszałem nocą łoskot otwieranego okna. Ten lęk pochodził spoza królestwa rozumu.

Na to, co miało nastąpić, wskazywało już wiele wcześniejszych zdarzeń. Rozum jest narzędziem nieszczególnie subtelnym, dość nieporęcznym i niezbyt przydatnym do chwytania prawdy. To dodatkowy powód, by na początek zawierzyć intuicji, podświadomości i przeczuciom. Samo życie poucza nas raz za razem, że tego, co najważniejsze dla serca i dla ducha, nie dowiemy się od rozumu, raczej dzięki innym naszym mocom. A więc sam rozum, świadomy ich wyższości, gotów jest